

nego z zamachami. Odwał ciężką robotę, głęboko zakonspirowany. Wreszcie agent dowiedział się, że Brent dotarł tu, do obscurnego klubu bilardowego, gdzie próbował uzyskać, a byłoby cudownie, gdyby uzyskał, ważne informacje od młodego człowieka, którego kolano Dellray trzymał właśnie w żelaznym uścisku.

– No więc kładę – oznajmił Dellray. – Karty. Na stół. Już się nieźle bawimy, nie?

– Jezu. – Twarz R.C. wykrzywił grymas, który groził mu skurczem mięśni. – Niech pan po prostu powie, czego pan ode mnie chce.

– To mi się podoba. – Przed oczami chłopaka pojawiło się zdjęcie Williama Brenta.

Dellray uważnie obserwował jego twarz i w oczach R.C. dostrzegł przelotny błysk, świadczący, że poznaje człowieka z fotografii.

– Ile ci zapłacił?

Trwająca ułamek sekundy cisza powiedziała Dellrayowi, że Brent rzeczywiście mu zapłacił i że kwota, jaka zaraz padnie, będzie znacznie niższa niż ta, która naprawdę przeszła z rąk do rąk.

– Kafla.

Cholera. Brent szczerą ręką rozdawał pieniądze Dellraya.

– To nie były prochy – dodał nieco płaczącym tonem R.C. – Mnie to nie interesuje.

– Jasne, że interesuje, ale mam to gdzieś. Przyszedł tu po informacje. A teraz... teraz muszę wiedzieć, o co pytał i co mu powiedziałeś.

– Dellray jeszcze raz zaczął rozgrzewać swoje długie palce.

– Dobra, powiem. Bill – powiedział, że ma na imię Bill. – R.C. wskazał na zdjęcie.

– Może być i Bill. Mów dalej, przyjacielu.

– Słyszał, że ktoś się zatrzymał u nas na dzielnicy. Jakiś koleś, który niedawno zjawił się w mieście, jeździ białym vanem i nosi giwerę. Wielką pieprzoną czterdziestkępiątkę. Kogoś już stuknął.

Rysy Dellraya nie drgnęły.

– Kogo zabił? I dlaczego?

– Nie wiedział.

– Nazwisko?

– Nie znał.

Agent nie potrzebował wariografu. R.C. z zapalem wcielał w życie dharmiczną cnotę uczciwości i prawdomówności.